

U Pana Boga w chórze

C o łączy Krzysztofa Dziermę, odtwórcę roli proboszcza w kultowym już cyklu Jacka Bromskiego „U Pana Boga...” z Uniwersytetem Medycznym w Białymstoku? Dziesięć lat pracy w chórze UMB.

Przy okazji obchodów jubileuszu 60-lecia Chóru Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, do redakcji „Medyka” trafiła kronika choralna z lat 1980-84. Na jednej z ostatnich stron przyklejono zdjęcie ślubne, poniżej którego znalazł się kaligrafowany podpis: *Para pół choralna. Krzysztof Dzierma z żoną.* Chwilę zajęło, zanim na załączonym obrazku udało się nam rozpoznać twarz proboszcza z Królowego Mostu. Rozpoczęliśmy śledztwo. Krzysztof Dzierma od lat zatrudniony jest w Białostockim Teatrze Lalek, gdzie pracuje jako konsultant muzyczny. Jak trafił do chóru? Czym się tam zajmował?

Chór na ciężkie czasy

Okazuje się, że do chóru trafił przez przypadek, dzięki prof. Romanowi Zielińskiemu, ówczesnemu dyrygentowi chóru, a prywatnie dalekiemu kuzynowi (z linii warszawskiej, jak podkreśla Dzierma). Zieliński zaproponował mu uczestniczenie w próbach, ponieważ potrzebował tenorów. Potem Dzierma został korepetytorem, a w końcu drugim dyrygentem. W życiu choralnym aktywnie uczestniczył przez ponad 10 lat.

– Czasy chóru wspominam bardzo miło, głównie dlatego, że byłem wtedy bardzo młody – wspomina pan Krzysztof podczas naszego spotkania w kawiarni BTL-u. – Stan wojenny zastał mnie w wojsku. Tragedia była, kiedy stamtąd wyszedłem. Jakieś kartki, puste półki w sklepach i nic nie można było kupić za zarobione pieniądze, bo z pracą akurat nie było problemu. Później studia, rodzina, a w końcu wstąpiłem do chóru. Zaczęły się wyjazdy zagraniczne i część problemów po prostu zniknęła.

Szczególnie miło wspomina obozy organizowane przez członków Chóru. Najchętniej lokalizowali je na terenach w pobliżu jeziora Wigry.



Kadr z filmu „U Pana Boga za miedzą”. Krzysztof Dzierma jako proboszcz stał się ulubieńcem widzów

– Podczas takich wyjazdów pracowaliśmy nad większymi utworami, ale też nie brakowało przygód – wspomina. – Któregoś roku we wrześniu, z kolegą, który miał się żenić, kupiliśmy ponton. Pieniądze pochodziły ze sprzedaży obrączek. Jeszcze inny kolega, który również zaopatrył się w obrączki z zamiarem ślubu, sprzedał je i kupiliśmy namiot. Były to naprawdę fajne czasy.

Chóry z innych krajów również odwiedzały Białystok. Któregoś razu, podczas wizyty chórzystów z Belgii, zaplanowano wycieczkę do Białowieży. Po powrocie okazało się, że część osób nie ma gdzie przenocować.

– Pamiętam, jak w środku nocy moja żona wróciła do domu z koleżanką – opowiada Dzierma. – Dzieci małe śpią, a ona mówi „nie gniewaj się, ale będziemy mieli gości”. I cały tabun ludzi zwał się do chałupy na Mazowieckiej, a ja do dzisiaj dziwię się, jak to się stało, że nie obudzili dzieci.

Naturszczyk, a nie aktor

Dzierma przyznaje, że w ostatnich latach jego życie znacznie zwolniło bieg. Mieszka na wsi, ma sporo ziemi i las. Tryb życia wyznaczają mu pory dnia i pogoda, a do

U Pana Boga za...

Film „U Pana Boga za piecem”, którego premiera miała miejsce w 1998 roku, spotkał się ze sporym zainteresowaniem widzów i krytyki. Zdobywał nagrody publiczności m.in. na festiwalach w Chicago i Słupnicy, oraz kilka wyróżnień na 23 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Najbardziej rozpoznawalnymi aktorami tej produkcji są Andrzej Zaborski, odtwórca roli komendanta policji oraz Krzysztof Dzierma, filmowy proboszcz. Popularność doprowadziła do kontynuacji zatytułowanej „U Pana Boga w ogródku”. Premiera odbyła się na placu Stefana Czarnieckiego w Tykocinie 26 sierpnia 2007, równoległe z premierą kinową. W latach 2007-2009 powstał również 12-odcinkowy serial pod tym samym tytułem, a ostatnia część trylogii nosi tytuł „U Pana Boga za miedzą”.

Większość aktorów, odgrywających role w kolejnych częściach, na co dzień grywa w Białostockim Teatrze Lalek. Podczas kręcenia wykorzystywano scenerie Supraśla, Sokółki, Białegostoku, Janowa, Tykocina i Królowego Mostu, który w filmie jest głównym miejscem akcji. Mała wieś, w której oprócz domów znajduje się tylko cerkiew. Wszyscy jednak kojarzą proboszcza Antoniego z kościołem w Królowym Moście, a w rzeczywistości był to kościół z Sokółki, podobnie zresztą jak lokalne zabudowania gospodarcze.

miasta wybiera się tylko po niezbędne zakupy lub na kilka godzin do pracy.

-Kiedy wstaję rano, sprawdzam, jaka będzie pogoda i mniej więcej wiem, co będę tego dnia robił – mówi. – Mam kuchenkę gazową, ale głównie korzystam z płyty na cztery fajerki, w której pali się drewnem. Centralne ogrzewanie też jest, ale piec pozostał na swoim miejscu.

Mało kto wie, że ule z pasieki teścia Dziermy zostały przetransportowane na plan „U Pana Boga za piecem”. Zresztą, lokalizacja planu, kościół i budynki gospodarcze zostały dobrane również ze względu na bliskie sąsiedztwo z rzeczywistym miejscem zamieszkania odtwórcy roli proboszcza.

Krzysztof Dzierma podkreśla, że aktorstwo jednej roli nie jest zawodem. Mówi, że od dwudziestu pięciu lat, od kiedy jest związany z teatrem, nie wypracował ani warsztatu, ani nie nauczył się rzemiosła, pozwalającego wcielić się w role fikcyjnych postaci. Na ekranie oglądamy prawdziwego człowieka, który, jak sam twierdzi, ani przez chwilę nie gra, ani nie udaje.

-Większość dialogów mówię z głowy. Reżyser mi na to pozwala i przyznaje, że czasami wychodzi mi lepiej, niż on sam by napisał – mówi pan Krzysztof. – Na początku kłopotem była moja składnia, w której np. wyrzucam orzeczenie na koniec. Ale jedyną osobą, która dotychczas zwróciła na to uwagę, była baba od skryptu, której zadanie polega na kopiuj-wklej. Zdarzały się takie, które miały do mnie o to pretensje, ale bardziej przez własne lenistwo. W końcu wszyscy się przyzwyczaili.

Dzierma przyznaje, że robienie filmów nie jest wcale łatwe. Dzień zdjęciowy zaczyna się o świcie, a zazwyczaj kończy o zachodzie słońca. Czasem kręci się nawet w nocy.

-Praca na planie filmowym to ciężka harówka – mówi Dzierma. – Zapamiętanie pięciu czy sześciu monologów z Najświętszą Panią i jeżdżenie rowerem od kapliczki do kapliczki wymaga sporo zdrowia. Część tekstów mówi się z tzw. off-u, kiedy np. ksiądz jedzie rowerem, a w tle słychać monolog. Któregoś razu wzięłem radio i pojechałem do kapliczki. Patrząc na ten monolog, strasznie długi zresztą i doszedłem do wniosku, że przeczytam go z kartki. „Ty nie czytaj, tylko mów z pamięci” usłyszałem w słuchawce. Nie wiem jak to robił, ale nasz dźwiękowiec czuł każdy szczegół.

Zapytany o to, czy jeszcze zagra w filmie, odpowiada, że tylko w kolejnej części „U Pana Boga...”, jeśli taka powstanie.

-Reżyser nie ma na razie pomysłu na kontynuację – mówi Dzierma. – Wiadomo też, że jeśli coś jest dobre, to chce się więcej. Kłopot w tym, że kiedy jest już za dużo, a ludzie proszą o jeszcze, złe wrażenie może paść na cały cykl i traci on popularność. Tak samo jak z jedzeniem. Dobrych potraw chce się

więcej. Jeśli się przesadzi, żołądek może po prostu wszystkiego nie pomieścić. Dobry scenariusz wymaga dramaturgii. Same postacie nie wystarczą, żeby dopowiedzieć coś, co wydaje się właściwe. Może warto pozostawić dobre wrażenie i zakończyć na tym, co już powstało, zamiast przesadzić z ilością – podsumowuje Dzierma.

Tomasz Dawidziuk



foto: Tomasz Dawidziuk

Dla Medyka

Dr hab. **Jerzy Konstanyłowicz** z Kliniki Pediatrii i Zaburzeń Rozwoju Dzieci i Młodzieży UMB, śpiewał w chórze razem z Krzysztofem Dziermą, zaś prywatnie jest jego przyjacielem:

-W późnych latach 80. Krzysztof Dzierma był drugim dyrygentem Chóru ówczesnej AMB. Skomponował kilka utworów, takich jak „Depce konik”, będący udaną aranżacją kurpiowskiej melodii ludowej oraz „Lokomotywę” do tekstu Juliana Tuwima. Chór prezentował je z reguły pod koniec programów

na festiwalach. Szczególnie „Lokomotywa” robiła furorę np. w Belgii i Francji. Utwór był rodzajem melodeklamacji pomieszaney z mocnym rytmem. Dzierma skomponował go ze sporym dystansem, może nawet z ironią, a ludzie dawali się nabierać sądząc, że jest to niezwykle nowoczesna, awangardowa sztuka... Jako dyrygent Krzysztof był bardzo spokojny, a zarazem bezpośredni. Nie był medykiem pośród medyków. Reprezentował wolny zawód artystyczny, a to zapewniało mu jeszcze większy dystans. W latach, kiedy działał w chórze, mieszkał w domku przy ul. Mazowieckiej. Było to niezwykle urokliwe, wypełnione życiem towarzyskim i inspirującymi dyskusjami miejsce, którego już nie ma. Kiedy po raz pierwszy zaprosił do siebie kolegów i koleżanki z chóru, pokazał nam kolekcję swoich łańcuchów. Były różne: od krowiaków po ciężkie łańcuchy przemysłowe, a wisiały na ścianie kominka obok sporej kolekcji kluczy. W pewnym sensie oddawały jego zamiłowanie do wsi, do tzw. „klimatów” i do spokojnego życia z dala od miejskiego pośpiechu. Teraz mieszka na wsi, może wstawać, o której chce, robić, co mu się podoba i nikt nie goni go terminami. W mieście ma tylko tych kilka godzin konsultacji muzycznych w teatrze. O tym zawsze marzył. Nie zmienił się nawet, kiedy rola filmowego proboszcza przyniosła mu sławę. Wolność Dziermy mieści się nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni. Kiedy zaczynał komponować, a było to dla teatru „Wierszalin” Piotra Tomaszuka na początku lat 90., opowiadał o tym, jak „widzi” muzykę do spektaklu „Turlajgroszek” albo „Kłątwa” [nie pamiętam dziś dokładnie]. Widział siebie leżącego na letniej łące, otoczonego dźwiękami brzęczących much, które nieoczekiwanie skojarzyły mu się z brzmieniem średniowiecznej liry korbowej. No i taką lirę korbową, za straszne pieniądze obejmujące ubezpieczenie, sprowadzono, o ile dobrze pamiętam, z Muzeum Etnograficznego w Warszawie, na potrzeby spektaklu. Muzyka była prosta i surowo-obsesyjna, jak to brzęczenie muchy, a jednak wszystkim się podobało. Wraz z rosnącym prestiżem i licznymi tourné *Wierszalina*, Dzierma miał propozycje wyjazdów zagranicznych, o które w tamtych czasach nie było łatwo. Zaproponowano mu nawet wyjazd do dalekiej Australii, jeśli dobrze pamiętam. Odmówił jednak, bo jak wówczas przyznał, woli zostać na swojej wsi i delektować się zapachami łąki.